

Zbrodnia za zbrodnią

Sensacyjna powieść kryminalna.

5 Przerobił J. R.

ciąg dalszy.

— Bogu dzięki — rzekła i odeszła do drugiego pokoju, gdzie syn jej krzątał się koło zmarłej. — Zdaje mi się, mam — zaczął mówić — że tu ludzka wiedza już się kończy, bo...

Urwał nagle i palec położył na ustach, nakazując milczenie.

Pani Wilding się poruszyła. Otworzyła oczy i spojrzała zupełnie, jak się zdawało przytomnie, na lekarza i jego matkę, podniosła się i z przechyłoną w tył głową, z oczyma utkwionymi w suficie usiadła bez ruchu na łóżku.

Pani Stürmer chciała coś do niej powiedzieć, ale syn chwycił ją za rękę, dając znać, aby milczała, poczem sam podszedł do chorej i chciał ją ułożyć na łóżku, mówiąc szeptem: „Niech się pani uspokoi, moja pani, już pani jest ocalona!“

Jednak chora, nie patrząc na niego, strząsnęła z siebie jego ręce, ale w tej chwili opadła na poduszki, zrobiwszy ręką dziwny ruch, jakby kogoś czy coś objąć chciała.

W tej chwili weszła do pokoju służąca i stanęła przestraszona na progu.

— Chodź bliżej, Maryś — rzekł cicho lekarz — chodzi tu o biedną chorą. Byłaś już raz siostrą miłosierdzia, może mi więc i teraz pomożesz.

Ale za nim Marya ku nim się zbliżyła, pani Wilding zaczęła ciężkim, zmienionym, jakby stłumionym głosem mówić. Twarz jej pokryła się trupią bladością, oczy wgrzązały się w dal, a usta poruszały się zaledwie, kiedy szeptała:

— Idźcie odemnie precz, duchy, które mnie dręczycie, odsuńcie się, bo nic nie mogę widzieć. Okrutne, ustąpcie! Widzę już, jak mgły się rozchodzą, a z nich wynurzają się zwolna postacie przyszłości.

Lekarz, służąca i pani Stürmer z zapartym oddechem słuchali jej słów, aż wreszcie doktor Stürmer ozwał się cicho:

— Zdaje się, że znajduje się w stanie jasnowidzenia. Co za błysk w oczach! — nie ulega wątpliwości — to jasnowidząca, somnambuliczka.

— Czego wy chcecie odemnie, duchy? — szepnęła znowu lunatyczka, ruszając rękoma, jakby się odpędzała od czegoś.

— Co tam widzisz? — zapytał doktor, utkwiszszy silny wzrok w jej oczach.

Twarz jej ściągnęła się od wewnętrznego bólu i upłynęło chwil kilka, zanim odpowiedziała.

— Zasłony z mgieł, chmury mgieł — szeptała — a z tych mgieł wynurzają się postacie — o, teraz wyjaśnia się...

Urwała, pochyliła się naprzód, jakby chciała lepiej widzieć i ciągnęła dalej:

— Pokój, biały jak śnieg — kobieta, piękna jak bogini — ale ta kobieta jest demonem; słuchajcie, ona mówi, mówi do mężczyzny...

Urwała znowu, jakby chciała lepiej słyszeć. — Nie możesz zrozumieć, co ona mówi do tego mężczyzny? — zapytał lekarz.

— Nie, nic nie rozumiem. Ona szepce tylko.

— Musisz ją zrozumieć! — rozkazał lekarz — słuchaj lepiej!

Głos jego, zazwyczaj czuły i łagodny, brzmiał surowo i groźnie.

Upłynęło znów chwil kilka, wtem po twarzy jasnowidzącej przebiegł dziwny dreszcz.

— Nie mogę nic zrozumieć — mówiła — ten szkaradny mężczyzna teraz od niej odchodzi, schodzi po schodach, wyszedł na ulicę, skręcił w aleję Lipową, już jest na ulicy Ogrodowej...

— Czego on tam szuka?

— Przelazł właśnie przez mur.

— Dalej! — rozkazał lekarz.

— Schylony czołga się przez park, przez okno w suterynach wszedł do pałacu. Zdejmuje buty i cicho biegnie po schodach na górę, przechodzi przez szereg pokoi, teraz stanął, stanął na progu sypialnej komnaty. Podchodzi chyłkiem jak wąż, odśladania niebieskie jedwabne firanki nad łóżkiem — t m śpi młoda kobieta — o, ja ją już widziałam, to żona hrabiego Pardua!

Krew znikła z twarzy doktora. Przerażonym wzrokiem patrzył na somnambuliczkę.

— Dalej, dalej! — naglił ją.

— Stoi przy łóżku. Teraz wyjął z kieszeni czarną chustkę — teraz — podnosi rękę — młoda hrabina śpi, nie przeczuwając niczego — ręka jego już na szyi śpiącej... Krzyknęła, obudziła

się — a teraz okrutnik bierze czarną chustkę i — knebluje —

Doktor cofnął się, przerażone oczy skierował na usta jasnowidzącej.

— Dalej! Dalej! — jęknął, a śmiertelny pot zrosił mu czoło.

— Knebluje jej usta — teraz ją dusi — wielki Boże! Morderca!...

Jasnowidząca, wyczerpana zupełnie, opadła na łóżko, oczy jej się zamknęły; słuchacze jej stali teraz jeszcze jak oszołomieni, aż nareszcie ozwał się doktor Stürmer zmienionym do niepoznania głosem:

— Tu się przygotowuje morderstwo! Daj Boże, abym jeno nie przyszedł za późno!

I zanim obie kobiety miały czas go powstrzymać, wybiegł z pokoju. Jak później dostał się do pałacu Solmsów, tego sam potem nie wiedział. Jak szalony pocisnął za guzik dzwonka elektrycznego i, drżąc ze wzruszenia, czekał, aż mu bramę otworzą. Nareszcie zjawił się portyer.

— Proszę mnie natychmiast wpuścić — zawołał do niego, a widząc, że sługus patrzy się nań jak na waryata, dodał, chcąc umotywować swój pośpiech: Jestem doktor Stürmer, proszę mnie zaprowadzić do jaśnie pani.

— Musiała zająć pomyłką, panie konsyliarzu; jaśnie pani jest zupełnie zdrowa i nie posyła po pana.

Ale doktor upierał się przytem, aby go zaprowadzono na górę. W pałacu panowała głucha cicha i ponury spokój, tak, że doktor zaczął już żałować swego postępków.

— Pan hrabia jeszcze nie powrócił; nie wiem, czy dobrze robię, jeśli pana teraz zamelduję. Jednak, może pan chwileczkę zaczeka — muszę przynajmniej zbudzić pokojówkę.

Pokojówka wpatrzyła się zaspaniami oczyma w twarz doktora, pewna, że Stürmer nagle zwaływał.

— Jaśnie pani jest zdrowa — rzekła.

— Zobacze przynajmniej raz jeszcze, Hanusiu, czy zdrowa; muszę mieć pewność — odparł, a duże krople potu spływały mu z czoła.

Z obawą, spełniał Hanusia polecenie, bo przypomniała sobie, że waryatom nigdy nie należy się sprzeciwiać. Lekarz poszedł za nią ze ściśniętym sercem. I on teraz uważał się w duszy za obłąkanego, bo przecież, gdyby się coś było stało, to pokojówka musiałaby chyba o tem wiedzieć. Drżąc ze wzruszenia patrzył, jak Hania otworzyła drzwi do sypialni; chciał wejść za nią, ale dziewczyna nagle krzyknęła i cofnęła się z pokoju.

Stürmer, straciwszy już panowanie nad sobą, usunął ją na bok i wszedł. To, co ujrzał przed sobą, ścięło mu krew w żyłach. Z piersi jego nie wydarło się nawet najmniejsze westchnienie, ale widać było, że stracił wszystką siłę. Zachwiał się i zaczął ręką szukać oparcia.

Firanki łóżka były rozsunięte, ale na łóżku nie było nikogo. Posłanie było jednak w największym nieporządku, jakby na niem przed chwilą stoczono walkę. Wtedy Stürmer krzyknął — w oczach zapłonęły mu dzikie ognie obłąkania.

— Miłosierny Boże! — jęknął — cóż to leży na ziemi pod tą kupą bielizny?

Zdawało mu się, że zmysły mająć mu się poczynają. Cóż się stało z kobietą, którą on ciągle tak serdecznie kochał? Komu zależało na tem najbardziej, aby młoda hrabinę sprzątnąć ze świata?

Podbiegł ku kupie bielizny.

Wielki Boże! Z pośród niej sterczała biała, drobna ręka kobieca!

ROZDZIAŁ IX.

Kto jest mordercą?

Detektyw Stein po niefortunnej przygodzie z hrabią Pardua zaczął się naradzać z bezimiennym. Siedzieli obydwa na drugi dzień razem, a z min ich można było wyczytać, że nie są zadowoleni.

— Nie udało nam się wczoraj — rzekł Stein kwaśno. — Postawiłem wszystko na jedną kartę, przekonany, że go tem od razu zbije z tropu. No, ale jeszcze nie wszystko stracone! Nie mogę uwierzyć, aby moje kombinacje miały być fałszywe. Pan przecie wreszcie odzyska pamięć, przypomni pan sobie przeszłość, a wtedy — wtedy uda nam się wyświecić sprawę.

Bezimienny potrząsnął niechętnie głową i rzekł smutno:

— Nie wiem; czasem zdaje mi się, że w mózgu naraz mi się wszystko rozjaśnia, że nagle zaczynam sobie wszystko przypominać, ale zaraz

myśli moje ogarnia znowu nieprzebity mrok. Czy ja jestem tym, za którego mnie pan ma? Czy to on napadł na mnie w pociągu i obrabował mnie? Tego nie wiem i wątpię, czy się kiedy dowiem.

— Nie traćmy nadziei — pocieszał go Stein — Jedno tylko źle zrobiłem, mianowicie, że wszystko robiłem za prędko, na gorąco. Jeżeli rzeczy tak się mają, jak ja przypuszczam, to daliśmy znać łotrowi, który ukradł panu nazwisko, żeby się miał na baczności. No, ale na razie, jak powiedziałem już, nie nam to nie zaszkodzi. Tego hrabiego Pardua nie spuszczać ja już z oka. Podejrzewam go jeszcze o coś innego. Daje mi dużo do myślenia nagła śmierć siostry jego żony.

Wyszli z biura policyi i udali się ku hotelowi, w którym mieszkali.

Mrok już zapadał, kiedy znaleźli się przed bramą hotelu. Stein kazał bezimiennemu, aby sam udał się na górę, zapowiadając, że zjawi się najpóźniej za godzinę. Bezimienny usłuchał, Stein zaś poszedł jeszcze na miasto.

Po chwili stanął przed pałacem Solmsów. Wszedł do loży portyera i podawszy mu cygaro, zaczął go wypytwać o wszystkie, wiadome mu, szczegóły, dotyczące się hrabiego Pardua. Wyszedłszy od portyera, mruzczał pod nosem:

— A więc rzeczywiście się pomyliłem — i jako porządny człowiek powinienem jutro iść hrabiego przeprosić. Musi on mnie teraz uważać za skończonego osła!

Zatopiony w myślach i niezadowolony ze siebie powrócił do hotelu. O mało, że nie wszedł do obcego mieszkania, ale poznał jeszcze na czas pomyłkę i cofnął się.

Jednak, zaledwie stanął na progu pokoju, w którym mieszkał on i bezimienny, z piersi jego wydarł się okrzyk przerażenia. Na środku pokoju leżał bezimienny w kałuży krwi, z otwartą raną na piersiach.

Widok ten oprzytomnił detektywa. W jednej chwili znalazł się tuż obok bezimiennego i schylił się, słuchając, czy zeń jeszcze życie nie uleciało.

— Wielki Boże! Czyżby już umarł? — szepnął Stein.

Ale w tej chwili bezimienny raz jeszcze otworzył oczy, na ustach jego pojawił się bolesny uśmiech. Zdawało się, że zbiera siły, że chce coś powiedzieć. Wzrok wlepił w twarz detektywa, podniósł się i wyszeptał ledwie słyszalnym głosem:

— On jest moim mordercą — on, ten człowiek z blizną na prawej ręce.

Opadł na ziemię i zamknął oczy.

Stein zerwał się na równe nogi i zaczął dzwonić, co miał siły.

— Prędko! Sprowadzić lekarza! — zawołał do nadbiegających kelnerów — prędko, póki jeszcze żyje!

Kilku kelnerów zbiegło na dół, reszta wcisnęła się do pokoju.

— Kto z was był ostatni u tego pana? spytał Stein.

Nikt nie umiał odpowiedzieć. Wszyscy twierdzili, że bezimienny przyszedł sam do pokoju i że nikt się o niego nie pytał.

Wtem wzrok Steina padł na list, leżący obok zamordowanego, który jeszcze boleśnie charczał.

Schylił się i podniósł list. Był on adresowany do niego samego. Rozerwał kopertę i zaczął czytać, ale w miarę czytania wzrok jego nabierał ognia, twarz bledła coraz bardziej, a ręka, w której list trzymał, drżała ze wzruszenia.

— Biedna Erna! Biedna hrabina Pardua! — szepnął detektyw sam do siebie. — Nie upadniesz jednak, biedaczko, pod brzemieniem tajemnicy, która otacza śmierć twojej siostry, bo ja ciemności rozjaśnię...

W tej chwili wszedł do pokoju lekarz, znany już Czytelnikom Adolf Stürmer. Rzut oka wystarczył, aby młody doktor od razu pojął całą grozę sytuacji.

— Może go pan wyratować, panie doktorze? — zapytał Stein trwożliwie.

— Widoki są złe, bardzo złe, ale życie ludzkie spoczywa zawsze w ręku Boga. Ja mu udzielę pierwszej pomocy, a potem musi się go natychmiast przenieść do szpitala. Pst! — urwał naraz — porusza się, jeszcze przychodzi do siebie!

Nie otwierając oczu, szeptał bezimienny blademi wargami:

— On mnie zaszytyletował — człowiek z blizną na prawej ręce.

Detektyw pochylił się nad nim i rzekł:

— Znajdę ja ci mordercę, znajdę! Wiem już, gdzie go mam szukać!